Nr. 24 (porz. 206.) Kraków, sobota d. 13. czerwca 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2. Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu", Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

C. k. Sąd Krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli Nr. 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 23 czasopisma „Obrona ludu" z d. 6. czerwca 1903 artykuł pod tytułem: „Awantury żołnierskie w Bochni" od słów: „Dziwna rzecz" do końca strona trzecia, zawiera znamiona występku z art. IV. i V. ustawy z 17. grudnia 1862 Nr. 8/63 Dz. p. p. i § 491 u. k., że zakazuje się rozszerzania tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru a cały nakład tegoż ma być zniszczonym, albowiem w artykule tym autor obwinia stan oficerski c. i k. armii o pogardliwe przymioty i na publiczne pośmiewisko go wystawia, tudzież przez niezgodne z prawdą przedstawienie stara się pobudzić do pogardy i nienawiści przeciw c. i k. armii.

C. k. Sąd Krajowy jako prasowy L. III. Kraków, dnia 5. czerwca 1903.

Morelowski.

Dlaczego prawdy niepowiedzieć!

Dziwne są ludzkie pojęcia o krzywdach, wyrządzanych innym, czy to na życiu, czy na majątku, czy też na sławie. Na jedne i te same zbrodnie raz rzucają ludzie pioruny oburzenia, drugi raz przypatrują się im z zimną krwią i obojętnością, a dosyć często nawet wielbią jako czyny bohaterskie. Sądy więc ludzkie co do zbrodni są bardzo często mylne i niesprawiedliwe, bo opierają się na pobudkach fałszywych i są wynikiem błędnych zapatrywań. Zatem nie zawsze jest zbrodniarz czystym, choć go pewna część ludzi ogłasza za czystego, ani też nie zawsze jest winnym, choć go pewna warstwa społeczeństwa uznaje za winnego. Lecz nie w tem leży szkodliwość i niesprawiedliwość sądów ludzkich, że one są czasem błędne, gdyż każdy człowiek mylić się może, ale w tem

leży ich niesumienność, że pochodzą z przewrotności, że się je wydaje fałszywie, chociaż się jest o tej fałszywości najzupełniej przeświadczonym. Takie wyrafinowane i cyniczne faryzeuszostwa napotyka się dzisiaj prawie na każdym kroku.

Pod wielu względami jesteśmy dzisiaj — w czasach wysokiej kultury i potężnego postępu — tam, gdzie i barbarzyńcy przed dwoma tysiącami byli. Dzisiaj jest tak samiuteńko, jak i dawniej było, że nie tych wsadzają do kryminału, co biją i mordują, ale tych, co się bronią! Niema się więc co chełpić ze swej cywilizacyi obecna ludzkość, której do rzeczywistej cywilizacyi jest jeszcze bardzo daleko, i która w tak kardynalnych podstawach zupełnie się od barbarzyńców nie różni.

Jak dawniej, tak i dzisiaj na pierwszym planie jest interes, a czy on pozostaje w zgodzie z zasadami uczciwości, sprawiedliwości i moralności, o to się mało kto pyta. O takich pięknych i wzniosłych zasadach tylko się mówi, drugim się zaleca, ale w praktyce robi się wręcz przeciwnie. A im kto silniejszy, czy stanowiskiem, czy bogactwem, tem więcej gwałci moralne zasady i kpi sobie z nich, co mu jednak wcale nie przeszkadza do prawienia morałów innym. I czy to nie cynizm, czy to nie obłuda i czy to nie faryzeizm najgorszego gatunku? Ot weźmy na przykład ostatnie zajścia w Kiszeniewie. Na wiadomość o mordowaniu żydów w tem mieście, o rabowaniu i niszczeniu ich dobytku ryknęły jękiem boleści z małymi wyjątkami prawie wszystkie dzienniki. Rozpisywały się o dzikości i barbarzyństwie napastników, zwoływali żydzi, socyaliści, radykali i ludowcy liczne zgromadzenia, na których rzucano gromy największego oburzenia na rozbestwionych sprawców rzezi wśród żydostwa kiszeniewskiego, ogłoszono cara winowajcą tych mordów i grabieży i pociągnięto go do odpowiedzialności za te zbrodnicze czyny przed cały świat. I że car nosi dotąd głowę na karku, to ma tylko zawdzięczać, że potęga jego jest na szczęście większa od potęgi żydów i ich przyjaciół. Biedne, »niewinne« ofiary pomordowanych żydów wywołały współczucie i powszechną litość!!!! I my morderstw i grabieży nie pochwalamy i my takie postępowanie ganimy, ale to nas nie powstrzymuje od wypowiedzenia słów prawdy.

Kto sieje wiatr, ten na burzę powinien być przygotowany i gdy to nadejdzie, niech się temu zupełnie nie dziwi. Żydzi w Besarabii i w całej wschodniej części Rosyi są żywiołem najbardziej przez tamtejszą ludność znienawidzonym i to nie dlatego, że są Żydami, ale że są nielitościwymi lichwiarzami i najgorszego gatunku wyzyskiwaczami. Całe dziesiątki lat w najwstrętniejszy sposób obdzierało żydowstwo biedną tamtejszą ludność. Całe dziesiątki lat uginała się tamtejsza ludność pod ciężkiem jarzmem żydowskiego wyzysku i szachrajstwa. A jeśli kto poszukiwał sprawiedliwości, nie znajdował jej u sprzedajnych czynowników. Tysiące ludności tamtejszej zmarniało i poszło z torbami zniszczonych i zrujnowanych lichwą żydowską. Tysiące ludu ginęło z nędzy i głodu, tylko skutkiem nienasyconej chciwości żydów, a nikt nie zabrał

głosu, nikt się nie odezwał w obronie tych nieszczęśliwych ofiar molochu żydowskiego. Nikt nie okazał litości, nikt nie okazał współczucia, gdy tysiące tych nędzarzy, odzieranych z ostatniej koszuli przez żydów, ginęło ze łzą goryczy i z cichą skargą na swych oprawców. Ale jak przemoc, tak i cierpliwość ma swe granice. I cóż dziwnego, że ta ludność, w tak niesłychany sposób gnębiona i wyzyskiwana, chwyciła się rozpaczliwych kroków obrony!

I któż się będzie dziwił, że ta ludność, opuszczona w swej niedoli i zrozpaczona, chwyciła za nóż i inne ostre narzędzia, by się bronić a razem i mścić na swych oprawcach. Więc gromy oburzenia należy się rzucać nie na deptaną, poniewieraną i z ostatniego kęsa chleba obdzieraną ludność, ale na tych, co do tych zbrodni doprowadzili. Winien jest car a raczej jego czynownicy, że obojętnie przypatrywali się niecnej robocie tamtejszych żydów, ale głównymi winowajcami są sami żydzi, bo oni swem nieludzkiem postępowaniem do tego doprowadzili i na nich też i na ich sumienie spada cała odpowiedzialność za te mordy.

Obłudą i faryzeuszostwem takim zbrodniom się nie przeszkodzi, ale szczerem wypowiedzeniem prawdy. Złą przysługę oddają ci wszyscy żydom, co ich zbrodnie biorą w obronę i jeszcze ogłaszają ich za nieszczęśliwe, »niewinne« ofiary zdziczenia! Robak deptany broni się jak może, a czyż człowiek ma spokojnie dać się pożreć swemu oprawcy? Niechaj żydzi zaprzestaną niecnych wyzysków, lichwiarstw, oszustw, szachrajstw i różnego gatunku łajdactw, a nikt na nich nawet palca nie zakrzywi. Nie żydów się nienawidzi, ale ich zbrodnicze i karygodne czyny! Niechaj wypadki w Kiszeniewie posłużą za przestrogę nie tylko żydom w Rosyi, ale i w Galicyi. Żaden z chrześcijan nie czyha na ich życie i majątek, ale cierpliwość ma swe granice, a rozpacz sprowadza nieobliczalne następstwa.

Jak zapobiegać chorobom zakaźnym.

Już w czasach bardzo odległych ludzie uznawali wielką potrzebę zapobiegania chorobom. Jest to zresztą rzeczą łatwą do zrozumienia, że zabezpieczanie się przed zarażaniem chorobami ma większe znaczenie dla zdrowotności ogólnej, aniżeli leczenie samej choroby. Zawsze bo łatwiej złego unikać, aniżeli się potem z nim za bary wodzić, bodajby nawet skutecznie. Łatwiej uniknąć ospy przez szczepienie, aniżeli w chorobie zapobiegać, żeby nie utracić życia, a przynajmniej gładkości twarzy, zdrowia oczu i t. d.

Jakie znaczenie w ograniczeniu chorób zakaźnych, jak cholery mają odpowiednie przepisy, jest wiadomem każdemu. Surowe prawa przeciw trędowatym dały również ten skutek pomyślny, że choroba rzeczona, która w dawniejszych czasach strasznie po całej Europie grasowała, obecnie stała się w większości krajów europejskich rzadkością. To samo można powiedzieć i o dżumie, która dawniej bardzo często i wprost z przerażającą siłą w Europie

panowała, a którą dziś, dzięki odpowiednim przepisom, udaje się zwykle stłumić w samym zarodku. »Morowe powietrze«, o zachowanie przed którem błagamy w suplikacyach, w dawnych wiekach wyludniało nieraz doszczętnie nietylko duże miasta, ale nawet całe prowincye — a obecnie chociaż zawlecze się dżuma lub cholera z Indyi, to jej nie puszczą dalej, jak to było przed kilkunastu laty w Hamburgu.

Zapobieganie więc chorobom zakaźnym wydało w wielu razach tak znakomite wyniki, że z każdą chwilą zyskuje ono coraz to większe uznanie publiczności; przy leczeniu zaś każdej choroby zaraźliwej kładzie się obecnie zawsze wielki nacisk na spełnianie przepisów, mających na celu ograniczenie szerzenia się zarazy.

Aby czytelnicy łatwiej pojęli wszystko, co wyżej w tym rozdziale powiedzianem było, przytoczę parę odpowiednich przykładów z mojej własnej praktyki lekarskiej:

Przykład pierwszy. U jednego z włościan synek czteroletni zachorował na dyfteryt, czyli błonicę. Jak zapewne wiadomo niejednemu z czytelników, posiadamy teraz bardzo skuteczne lekarstwo przeciw tej chorobie, jeżeli je tylko dość wcześnie zastosowujemy. Lekarstwo to, zwane »surowicą przeciwbłoniczną«, zastrzykuje się pod skórę choremu, a także i zdrowym nawet, jeżeli w rodzinie jest kilkoro dzieci, a chorego do osobnego mieszkania wziąć nie można; takie więc zastrzykiwanie i zdrowych od tej choroby zabezpiecza.

Ojciec chorego dziecka nie zgodził się ani na zastrzyknięcie surowicy choremu, ani tembardziej zdrowym dzieciom, których miał jeszcze troje. Wydało mu się to zbyt drogiem. Nie chciał, aby mu — jak mówił — »dzieci kaleczyć«, chociaż tyle przy tem bólu i znaku, co od ukłócia igłą. Cóż było robić? Zaleciłem mu przynajmniej chore dziecko trzymać gdzieś osobno od innych dzieci, dawać mu posiłek z osobnego naczynia, żeby tym sposobem choć zdrowe od choroby uchronić. Jak się później dowiedziałem, dziecko chore odosobnionem nie zostało i troje pozostałych zaraziło się od niego tak, że z czworga chorych — dwoje umarło. Tymczasem, gdyby ów gospodarz usłuchał był mojej rady i chore dziecko odosobnił, oraz dał je leczyć, jak trzeba było — to i onoby pewno nie umarło, a z tamtych żadne napewnoby nie zachorowało.

Przykład 2-gi. W jednym folwarku, w czworakach, żona fornala umarła na suchoty galopujące. Zaraz po jej śmierci do tegoż mieszkania wprowadziła się druga rodzina. Żona tego drugiego fornala, znajoma mi przedtem, jako kobieta zupełnie zdrowa, wkrótce również zapadła na suchoty i obecnie, po kilku miesiącach choroby, jest w takim stanie, że niedługo życie zakończyć musi.

Gdyby mieszkanie po pierwszej chorej było dokładnie i w sposób należyty wymyte, gdyby ściany zostały zeskrobane i na nowo wybielone, to druga kobieta nie byłaby zachorowała z pewnością; bo ona zaraziła się od pierwszej, po której w mieszkaniu musiało pozostać mnóstwo bakteryi suchotniczych.

Przykład 3-ci. Pewien mężczyzna przed ożenieniem się miał początki suchot. Ożeniwszy się, zaczął chorować coraz bardziej,

gdyż wiadomo, że najczęściej jak ożenienie się, tak i zamążpójście stan suchotników pogarsza. Chory ów zaraził suchotami swą żonę, kobietę dotąd zdrową i w końcu po dwóch latach umarł. Zostawił jednak po sobie dziecko słabowite i skrofuliczne, a choć nie miało suchot, lecz było do tego stopnia słabe, że choroba ta z daleko większą łatwością, przyczepić się do niego może.

Byłoby wszystko inaczej, gdyby człowiek ten słuchał był doktora i do czasu nie żenił się. Powinien był najpierw stan swego zdrowia poprawić odpowiedniem leczeniem i spełnianiem odpowiednich przepisów zdrowotnych, to byłaby choć jaka taka pewność, iż zarazy szerzyć nie będzie i że nie pogorszy się mu po ożenieniu. Sam wtedy byłby może tak prędko nie umarł i nie zaraziłby swej żony, która cierpieć musi najniesłuszniej; nie dałby był życia dziecku, które prawdopodobnie na suchoty skończy.

Z tych trzech przykładów aż nadto dostatecznie daje się widzieć, jak zgubne skutki może mieć nieopatrzność ze strony chorych, i jak ważnem jest stosowanie się do przepisów, dążących do tego, aby zapobiegać szerzeniu się chorób zakaźnych.

KRZYŻACKA MAĆ.

(Według powieści Sienkiewicza p. t. „KRZYŻACY“.) (Ciąg dalszy.)

Tymczasem nie spuszczał z niej oka, rozmyślając w wezbranem sercu, jakąby ją uczcić modlitwą, sądził bowiem, że za królową inaczej jakoś modlić się trzeba. Umiał wprawdzie: »Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum«, tego bowiem wyuczył go pewien Franciszkanin w Wilnie, począł więc powtarzać w kółko tych kilka słów, które w jego duszy znaczyły: »Daj, o Boże, naszej umiłowanej pani zdrowie i życie i szczęście — i więcej o nią dbaj, niż o wszystkie inne«. — Że zaś to mówił człowiek, nad którego własną głową wisiał sąd i kara, przeto w całym kościele nie było szczerszej modlitwy.

Po skończonej mszy myślał Zbyszko, że gdyby mu wolno było, stanąć przed królową, upaść przed nią na twarz i objąć jej stopy, to niechby potem nawet koniec świata nastąpił, ale po pierwszej mszy wyszła druga, potem trzecia, a następnie pani odeszła do swoich komnat, zwykle bowiem suszyła aż do południa i umyślnie nie brała udziału w wesołych śniadaniach, przy których dla uciechy króla i gości występowali trefnisie i kuglarze. Natomiast przed Zbyszkiem pojawił się stary władyka z Długolasu i wezwał go do księżny.

— Będziesz posługiwał przy śniadaniu mnie i Danusi, jak mój dworzanin — rzekła księżna — a nuż zdarzy ci się przypodobać królowi jakowemś krotochwilnem słowem, albo postępkiem, którym serce jego sobie zjednasz. Krzyżak, jeżeli cię pozna, nie będzie może się skarżył, widząc, że przy stole królewskim mnie posługujesz.

Zbyszko ucałował rękę księżny, poczem zwrócił się do Danusi i jakkolwiek przywykły więcej do wojny i bitek, niż do dworskich obyczajów, wiedział jednak widocznie, co rycerzowi czynić przystoi, gdy rankiem zobaczy damę swych myśli, gdyż cofnął się i przybrawszy wyraz zdumienia, zawołał żegnając się:

— W imię Ojca i Syna i Ducha!...

A Danusia spytała, podnosząc na niego niebieskie oczy:

— Czego się Zbyszko żegna, kiedy już po mszy?

— Bo przez tę noc tyle ci piękna panno gładkości przybyło, aże mi cudnie!

Lecz Mikołaj z Długolasu nie lubił, jako człowiek stary, zagranicznych zwyczajów rycerskich, więc wzruszył ramionami i rzekł:

— Co tam będziesz po próżnicy czas tracił i o urodzie jej prawił! Skrzat to, któren ledwie od ziemi odrósł...

Na to Zbyszko spojrzał zaraz na niego zawzięcie:

— Warujcie się nazywać ją skrzatem — rzekł, blednąc z gniewu — i to wiedzcie, że gdyby wam było mniej roków, zarazbym kazał ziemię za zamkiem udeptać, i niechby przyszła wasza albo moja śmierć!...

— Cichaj, chłystku! dałbym ci rady jeszcze dziś!

— Cichaj! — powtórzyła księżna. — To zamiast o własnej głowie myśleć, będzie mi tu jeszcze zwady szukał! Wolejbym była stateczniejszego poszukała dla Danusi rycerza. Ale to ci powiadam, że jeśli chcesz burzyć, to chybaj sobie, bo tu takich zadziorów nie trzeba...

Zbyszko zawstydził się słowami księżnej i począł ją przepraszać. Pomyślał przytem, że jeśli pan Mikołaj z Długolasu ma doletniego syna, to tam kiedyś wyzwie go na walkę pieszą lub konną, byle za skrzata nie darować. Tymczasem jednak postanowił zachować się na pokojach królewskich, jak trusia i nie wyzywać nikogo, chybaby tego rycerska cześć wymagała.

Odgłos trąb oznajmił, że śniadanie gotowe, więc księżna Danuta, wziąwszy za rękę Danusię, udała się do komnat królewskich, przed któremi stali, czekając na jej przyjście, świeccy dygnitarze i rycerze. Księżna Ziemowitowa weszła już była pierwej, gdyż, jako rodzona siostra królewska, wyższe brała miejsce za stołem. Wnet zaroiło się w komnacie od gości zagranicznych i zaproszonych miejscowych dygnitarzy i rycerzy. Król siedział u wyższego końca stołu, mając przy sobie biskupa krakowskiego i Wojciecha Jastrzębca, który chociaż niższy godnością od infułatów, siedział, jako poseł papieski, po prawicy króla. Dwie księżne zajęły miejsca następne. Za Anną Danutą siedział na szerokim krześle arcybiskup gnieźnieński, Jan, książę pochodzący z Piastów śląskich, syn Bolka III. księcia Opolskiego. Zbyszko słyszał o nim na dworze Witoldowym i teraz stojąc za księżną, poznał go natychmtast, po niezmiernie obfitych włosach, które, pozwijane w strąki, czyniły głowę jego podobną do kościelnego kropidła. Na dworach książąt polskich nazywano go Kropidłem, a nawet Krzyżacy dawali mu imię »Grapidla«. Był to człowiek słynny z dowcipu, żartów, z wesołego humoru i znajomości obcych języków, siedząc też obok Lichtensteina, prowadził z nim ożywioną rozmowę po niemiecku.

Zbyszko, stojąc za krzesłem księżny, znalazł się tak blizko Krzyżaka, że mógłby go był ręką dosięgnąć. Ale Niemiec ani się domyślał, że ów rycerz, który natarł na niego zuchwale na gościńcu, znajduje się tak blizko. Rozpoczęło się śniadanie. Wniesiono polewkę winną, zaprawioną jajami, cynamonem, gwoździkami, imbierem i szafranem tak silnie, że zapach rozszedł się po całej izbie. Jednocześnie trefniś Ciaruszek, siedzący we drzwiach na zydlu, począł udawać śpiew słowika, co widocznie weseliło króla. Po nim drugi obchodził stół wraz ze służbą, obnoszącą potrawy, stawał nieznacznie za gośćmi i naśladował blizkie brzęczenie pszczoły, tak dokładnie, że jaki taki kładł łyżkę i poczynał oganiać czuprynę. Na ten widok inni wybuchali śmiechem. Zbyszko pilnie usługiwał księżnie i Danusi, lecz gdy z kolei i Lichtenstein począł się klepać w łysiejącą głowę, zapomniał znów o niebezpieczeństwie i począł śmiać się aż do łez, a stojący blizko niego młody kniaź litewski Jamunt, syn namiestnika smoleńskiego, pomagał mu w tem tak szczerze, że aż ronił potrawy z półmisków.

Lecz Krzyżak, spostrzegłszy wreszcie pomyłkę, sięgnął do kalety, a jednocześnie zwróciwszy się do biskupa Kropidły, przemówił do niego kilka słów po niemiecku, które biskup zaraz po polsku powtórzył:

— Szlachetny pan mówi ci tak — rzekł, zwracając się do błazna — dostaniesz dwa skojce, ale nie brzęcz za blizko, gdyż pszczoły się odpędza, ale trutniów się bije.

Na to trefniś pochował dwa skojce, które mu podał Krzyżak i korzystając z przysługującej błaznom na wszystkich dworach wolności, odrzekł:

— Dużo miodu w ziemi Dobrzyńskiej [1]), dlatego ją trutnie obsiadły. Bij-że ich królu Władysławie!

— Naści i odemnie grosz, boś dobrze powiedział — rzekł Kropidło — jeno pamiętaj, że gdy leziwo się urwie, to bartnik kark skręci. Mają żądła te malborskie trutnie, które Dobrzyń obsiadły, i niebezpiecznie leźć na ich barć.

— O wa! — zawołał Zyndram z Maszkowa, miecznik krakowski — można ich wykurzyć!

— Czem?

— Prochem.

— Albo toporem barć ściąć! — rzekł olbrzymi Paszko Złodziej z Biskupic.

Zbyszkowi rosło serce, sądził bowiem, że takie słowa zapowiadają wojnę. Ale rozumiał je i Kuno Lichtenstein, który przebywając długo w Toruniu i w Chełmie, wyuczył się polskiej mowy, i nie używał jej tylko przez pychę. Teraz jednak podrażnion słowami Zyndrama z Maszkowa, utopił w nim swoje szare źrenice i odrzekł:

— Zobaczymy.

---

[1]) Ziemia Dobrzyńska zagarnięta została na mocy bezprawnego układu z Władysławem Opolczykiem przez Krzyżaków.

— Widzieli ojce nasi pod Płowcami, a i my widzielim pod Wilnem — odpowiedział Zyndram.

— Pax vobiscum! — zawołał Kropidło. — pax, pax! Da Bóg, na przyszłą niedzielę powiem wam tak piękne kazanie o miłości bliźniego, o miłości między chrześcijańskimi narodami, iż was do cna skruszę. Cóż to jest bowiem nienawiść, jeśli nie ignis, czyli ogień, a do tego ignis infernalis... ogień piekielny, tak okrutny, że woda mu nie poradzi. Wina dawajcie i niech żywie miłość między chrześcijany!

— Między prawdziwymi chrześcijany! — powtórzył z naciskiem Kuno Lichtenstein.

— Jakże? — zawołał, podnosząc głowę biskup krakowski Wysz — zali to nie w odwiecznie chrześcijańskiem królestwie przebywacie? zali nie starsze tu kościoły, niż w Malborgu?

— Nie wiem — odpowiedział Krzyżak.

Król szczególniej drażliwym był, gdy szło o chrześcijaństwo. Zdawało mu się, że Krzyżak może jemu właśnie chce przymówić, więc wystające policzki pokryły mu się zaraz czerwonemi plamami, oczy poczęły błyskać.

— Co to! — odezwał się grubym głosem. — Nie chrześcijański ja król? co?

— Królestwo powiada się chrześcijańskiem — odparł zimno Krzyżak — ale obyczaje są w niem pogańskie...

Na to podnieśli się groźni rycerze: Marcin z Wrocimowic, herbu Półkoza, Floryan z Korytnicy, Bartosz z Wodzinka, Domarat z Kobylan, Powała z Taczewa, Paszko Złodziej z Biskupic, Zyndram z Maszkowic, Jaksa z Targowiska, Krzon z Kozichgłów, Zygmunt z Bobowy i Staszko z Charbimowic, potężni, sławni, zwycięzcy w wielu bitwach, w wielu turniejach, i to płonąc z gniewu, to blednąc, to zgrzytając zębami, poczęli wołać jeden przez drugiego:

— Gorze nam! bo gościem jest i nie może być wyzwan!

A Zawisza Czarny, Sulimczyk, najsłynniejszy między słynnymi, »wzór rycerzy«, zwrócił zmarszczone czoło do Lichtensteina i rzekł:

— Nie poznaję cię Kunonie. Jakże możesz, rycerzem będąc, hańbić wspaniały naród, gdy wiesz, że jako posłowi żadna ci za to kara nie grozi?

Lecz Kuno wytrzymał spokojnie groźne spojrzenia i odrzekł zwolna, dobitnie:

— Nasz Zakon, zanim do Prus przybył, wojował w Palestynie, ale tam nawet i Saraceni posłów szanowali. Wy jedni ich nie szanujecie i dlategom obyczaj wasz nazwał pogańskim.

Na to gwar uczynił się jeszcze większy:

Naokół stołu ozwały się znów okrzyki: »Gorze! gorze!«

Ale uciszyły się, gdy król, na którego obliczu wrzał gniew, klasnął obyczajem litewskim kilkakroć w dłonie. Wówczas wstał stary Jaśko Topór z Tęczyna, kasztelan krakowski, sędziwy, poważny, postrach dostojnością urzędu budzący i rzekł:

— Szlachetny rycerzu z Lichtensteinu, jeśli was jakowaś zniewaga, jako posła spotkała, mówcie, a srogiej sprawiedliwości wartko stanie się zadość. (C. d. n.)

Jak polują na strusie.

Największym ze wszystkich ptaków jest struś. Głowa jego jest mała, spłaszczona, porośnięta, tak samo jak i długa szyja, puchem podobnym do szczeciny, zresztą pokryty jest rozstrzępionemi piórami barwy czarnej i białej. Samica jest popielata. Oczy ma łagodne i piękne, ocienione długiemi rzęsami. Wzrok posiada doskonały. Dziób krótki, płaski. Skrzydła strusia niezdatne są do lotu, za to nogi ma potężne, zakończone dwoma dużemi palcami, z pazurami, podobnemi do kopytek; nogi te zdatne są do biegu, to też struś biega prędzej od konia.

Stusie żyją stadami w skwarnych pustyniach Afryki. Jadają trawę, nasiona i robactwo. Wyrokiem obejmują ogromne przestrzenie na kilka mil dookoła. Skoro jeden ze strusiów coś niezwykłego dostrzeże, zaraz daje hasło do ucieczki i całe stado ucieka pędem strzały z rozpostartemi skrzydłami. Żebry, zwierzęta podobne do małych koników, mające wzrok tępy, trzymają się zwykle strusiów, pewne, że te czujne ptaki ostrzegą ich o każdem niebezpieczeństwie.

Strusica znosi kilkanaście jaj bardzo dużych, z których każde waży tyle, co 24 jaj kurzych. Na gniazdo wygrzebują strusie dołek w piasku i otaczają go wałem. Samice nie bardzo troszczą się o swe jaja, najwięcej samiec je wysiaduje, a potem młode wywodzi. Strusięta mają barwę szarą, podobną do barwy piasków pustyni, wśród których nawet wprawne oko dostrzedz ich nie może, szczególniej gdy przywarują do ziemi.

Pióra strusie używane są do stroju i wysoko cenione, z tego powodu ptaki te doznają od ludzi ciągłego prześladowania. W ostatnich czasach zaprowadzono hodowlę strusiów w osobnych strusiarniach.

Polowanie na strusie odbywa się w rozmaity sposób. Oto jak łowy te opisuje pewien myśliwy.

„Zebrało się nas kilkunastu na polowanie na strusie. Mieliśmy z sobą wielbłądy, które dźwigały skórzane wory z wodą i zapasami żywności dla ludzi i koni. Jedyną bronią każdego myśliwca była mocna laska, bardzo ciężka na jednym końcu.

Wyruszyliśmy w drogę bardzo rano i po dwu dniach podróży przybyliśmy na szczerą pustynię, gdzie miały być strusie; jakoż istotnie natrafiliśmy wkrótce na ich ślady. Nazajutrz wysłaliśmy na zwiady dwóch myśliwych, znających się na rzeczy doskonale. Ci ludzie mieli za całe ubranie jedną tylko szmatę, zwieszającą się od pasa do kolan, wzięli w drogę jeden wór skórzany z wodą, trochę chleba i znikli w pustyni. Błąkali się oni w pustyni tu i ówdzie, bacznie rozpatrując okolicę, poczem jeden z nich pozostał, w miejscu, drugi powrócił do nas. Otoczyliśmy go do około, wypytując niecierpliwie, z czem przychodzi.

— Wiemy gdzie są strusie! — zaledwie wymówił te wyrazy, dowódca kazał zwinąć obóz i ruszyliśmy za przewodnikiem, który na własne oczy oglądał strusie i wyśledził miejsce ich pobytu.

Kiedy oddział nasz przybył do ostatniego wzgórza, za którem mógł był jeszcze być niedostrzeżonym przez strusie, jeźdźcy pozsiadali z koni, a dowódca wyprawił znowu dwóch doświadczonych tropicieli na zwiady. Tropiciele owi, pełzając na brzuchach, jak węże, wydostali się na wzgórze i niebawem powrócili, zawiadamiając dokładnie o położeniu miejsca, gdzie się znajdują ptaki i dowódca stosownie do tego ułożył plan polowania. Konie zostały trochę napojone, następnie złożono wszystkie juki na jednem miejscu i pozostawiono je bez straży. Każdy z jeźdźców wziął na konia lub na wielbłąda wór z wodą oraz jęczmień i ruszyliśmy naprzód.

Niebawem myśliwi, nie widząc jeszcze strusiów i nie widzialni przez nie, zaczęli się ustawiać i opasali wielkie koło, po środku którego miało się odbyć polowanie, poczem kilku myśliwych ruszyło w środek koła, aby wypłoszyć strusie. Na widok zbliżających się ludzi, strusie zaczęły uciekać; ale napotkały niebawem myśliwych, którzy zapędzili je do środka koła. Ptaki rozumie się, nie zatrzymywały się we środku koła, ale biegły dalej i znowu napotkały myśliwych i znowu musiały zawrócić. Biegały one tam i napowrót wewnątrz koła, usiłując wyrwać się z niego, ale nadaremnie — myśliwi dawali baczenie, aby ani jeden ptak im nie umknął.

Bieg nadzwyczaj szybki, ogromny przestrach zmęczył strusie, zaczęły zwalniać kroku, wznosiły skrzydła w górę, co było niezawodną oznaką, że opadały już na siłach. Byliśmy pewni zdobyczy, każdy z nas wybrał sobie jednego ptaka, pędził za nim, dopóki go nie doścignął z tyłu, albo z boku, a wtedy uderzał go laską z całej siły w głowę. Skoro tylko struś upadł, myśliwy zeskakiwał z konia, przecinał mu gardło i pazur jego nogi wbijał mu w ranę, aby krew, z niej wypływająca, nie splamiła piór drogocennych. Z martwego już ptaka ściągano skórę, wycinano lepsze kawały mięsa, a resztę zawieszano na drzewach, gdzieniegdzie rosnących w pustyni, aby wysuszone na słońcu posłużyło za pokarm jakiemu zgłodniałemu wędrowcowi.

Co do mnie, to nie zabiłem mego strusia, ale wyczerpanego z sił goniłem przed koniem i przypędziłem do obozu.

Polowanie z zasadzki inaczej się odbywa.

Około połowy listopada, w czasie kiedy strusie znoszą jaja, wybrało się siedmiu myśliwych na zasadzkę. Wyszukano do tego miejsce, gdzie niedawno deszcze spadły i na wilgotnym piasku można było dostrzedz ślady strusi. Ślady te krzyżowały się na wszystkie strony, a trawa wokoło była bardzo zdeptana. Wszystko to dowodziło, że w pobliżu musi być gniazdo. Jakoż istotnie było. Polowanie odłożono do drugiego dnia rano, kiedy samica siedzi na gnieździe, a tymczasem, aby ptaków nie płoszyć, odciągnęliśmy dalej na nocleg. Nazajutrz o wschodzie słońca przybyliśmy na stanowisko. Samica zaraz spostrzegła ludzi, skoczyła co tchu z gniazda i uciekła z niezmierną szybkością w pustynię. Wiedzieliśmy o tem z góry, że tak być musi, ale wiedzieliśmy również, że znowu do jaj powróci. W samej rzeczy pobiegła ona do samca, który pasł się w niejakiej odległości i jak tylko spostrzegł samiczkę, zaczął

ją bić dziobem i zmuszać, aby powróciła do jaj. Opierała się, jak mogła, zwlekała, nareszcie musiała uledz.

Przez ten czas myśliwi w odległości dwudziestu kroków od gniazda, po obu jego stronach, wykopali dwa doły, tak głębokie, aby się w nich stojący człowiek mógł ukryć. Do każdego z tych dołów wszedł strzelec doskonały, inni zaś nakryli go chróstem i trawą, tak, że tylko strzelba wystawała.

Cisza głęboka panowała wokoło, kiedy samica wróciła do gniazda. Strzelcy ukryci w dołach zachowywali się jak można najspokojniej, oczekując południa, gdyż o tej porze przychodzi struś i zwalnia swą towarzyszkę. Prawie w samo południe przybył ojciec gniazda, samica poszła na paszę, a on usadowił się na gnieździe. Rozpostarł skrzydła, usiłując okryć niemi wszystkie jaja, i w tem położeniu uda jego wystawały tak, że mogły strzelcowi służyć za cel doskonały. Jeden z Arabów, ukrytych w dole, wymierzył w udo i wypalił. Myśliwi natychmiast poskoczyli do strusia, dobili go i krwawe plamy zasypali piaskiem.

O zachodzie słońca powróciła samica; nieobecność towarzysza nie obudziła w niej podejrzeń, może sobie wyobrażała, że już poszedł na paszę. Skoro usiadła na jajach, drugi myśliwy zastrzelił ją w taki sam sposób, jak samca. Polowanie to musi odbywać się w taki sam sposób. Gdyby bowiem myśliwi, zabierający się do kopania dołów, spłoszyli najpierw samca, ten pobiegłby do samicy i potem żadne nie wróciłoby do gniazda.

Dzicy Buszmani w Afryce Południowej polują na strusie jeszcze inaczej. Człowiek idący na łowy przebiera się za strusia, to jest wkłada na kark rodzaj siodła, ubranego w pióra strusie. Pochyliwszy się nieco, człowiek ten trzyma w prawej ręce szyję strusia wraz z głową, doskonale wyprawione i wypchane, w lewej zaś ręce niesie łuk i strzały zatrute. Oprócz tego maluje sobie nogi tak, aby barwa ich podobną była do nóg strusia.

Niektórzy Buszmani umieją wybornie naśladować wszystkie ruchy i zachowanie się tych ptaków, często o kilkanaście kroków trudno takiego człowieka odróżnić od prawdziwego strusia. Naśladuje on doskonale szczypanie trawy dziobem, zwracanie głowy to w tę, to w drugą stronę, wstrząsanie piórami, chodzenie, bieganie. Złudzone tem wszystkiem ptaki pozwalają myśliwemu zbliżyć się do siebie na odległość strzału, wtedy wypuszcza on strzałę, a gdy strusie uciekają, widząc, że jeden z nich padł, przebrany za strusia człowiek ucieka z niemi także, jakby należący do stada; jeżeli jednak strusie poznają zdradę, dopędzają nieprzyjaciela i zabijają na miejscu.

Krzywdy i nadużycia.

O tem, jak krzaki w lesie pod dobrym leśniczym mają lepszą opiekę i wychowanie, niż nasz lud.

U nas teraz »przy nadmiernem wzroście oświaty ludu«, jak nasi opiekunowie (od słowa opiekać) z trwogą uważają, nastał

w szkołach ludowych system, że jeżeli jest chłopak zły, niesforny, to się go ze szkoły wyklucza, a to właśnie daje mu większą swobodę do najgorszych wybryków. Zatem wyobraź sobie Czcigodny Panie Redaktorze, że masz na wsi chatkę i ogródek, jeżeli ci wyrósł kwiatek taki, którego ten chłopak jeszcze nie widział, zaraz przychodzi, wyrywa z korzeniem, opatrzy na wszystkie strony i rzuca na ziemię. Zasadziłeś kląb leszczyny, on zauważył, jakby to laski miały róść tak kołem, powyrywał wszystkie, choć ciężką miał przy tem pracę. Zasadziłeś puste pole świerkami i bardzo ładnie rosną, on poszedł, pościnał część znaczną i w najładniejszej gęstwinie zwalił na kupę i podpalił. Rośnie ci smerek wspaniały w polu, on wyłupił na nim dużą łatę kory, gdy potem, jak krew z rany, żywica cały bok drzewa oblała, on podpalił tę smołę i drzewo zniszczone! Jeżeli masz szczepek w ogrodzie, a on zauważy, że ci na tem szczepku bardzo zależy, z pewnością ukradkiem otrzęsie jabłka, jeszcze zielone, połamie gałęzie i odejdzie ci to wszystko na ziemi. W ogródku na śliwce uwiła gniazdko pokrzywka, ptaszek, który różnemi głosami śpiewa, i jeżeli nie tak pięknie, jak słowik, ale za to ma repertuar daleko obszerniejszy. Chłopak wypatrzył gniazdko, wylazł, zrzucił, potargał i poszedł rad, że spełnił powinność swoją. Ale jest w ogrodzie inne jeszcze gniazdko, wołasz chłopca i mówisz tak: słuchaj Julek, masz tu dwie szóstki, a uważaj, aby się tym ptaszkom nic złego nie stało, jak się pięknie wywiodą, dostaniesz znowu dwie szóstki. On przyrzekł uroczyście, ale tego na sobie przenieść nie może, by te ptaszki były spokojne. Namawia drugiego chłopca, dając mu kozik i centa, aby te ptaszki zepsuł, potem ci donosi, spodziewając się podwójnej nagrody, jako widział, kiedy Wicek Kaciaków zepsuł to gniazdko. Gdy twoje kury jedzą przed domem gromadką, on palnie do nich kamieniem z zapłotu, że się rozlecą na cztery wiatry. I nie wiesz, czy to zwierz w kształcie człowieka, czy człowiek z naturą zwierza. Ale nie ubliżajmy zwierzętom takiem porównaniem, bo jeżeli małpy szkodliwe są dla plantatorów, to pewnie nie tak niebezpieczne i wyrafinowane.

Z jakąż rozkoszą strzeliłbym do takiej bestyi, a tu go ani trącić nie wolno, bo ojciec przyleci na ciebie z cepami, na co mu dziecko bijesz! i będziesz miał krwawą wojnę. A jeżeliś zaskarżył do sądu i stary musiał karę zapłacić, to masz teraz zaciętych dwu wrogów, którzy ze zemsty psuć ci będą wszystko, co im pod rękę wpadnie.

Tu już niektóre rodziny, ze wsi Żarnówki, sprzedały wszystko i wyniosły się na Ruś, lub do Ameryki, jedynie z powodu takich malców. Uprzykrzyła im się ustawiczna zwada, bitka i co tydzień terminy sądowe. I na takiego urwisza niema władzy ani gmina, ani państwo, ani kościół. Nasi opiekunowie powiadają, że to skutek nadmiaru oświaty!! A wiecie, kto tych urwiszów nareszcie uczy? Oto: karczma. Tam taki łotrzyk, gdy podrósł, zaczął jedną bitkę i drugą, aż wreszcie trafił na swoich, że go zmłócą na nic i zdrowie odbiorą, a później umiera powoli, jak tego mamy tyle przykładów, albo się namyśli, że nie można bić się z całym światem i jest dosyć spokojnym człowiekiem.

Jeżeli człowiek jest dla społeczeństwa, to rozumie się, że go społeczeństwo wychować powinno. Wypędzanie ze szkoły takich łotrzyków i oddawanie ich tylko pod opiekę ojca, to żadne lekarstwo ale otwarcie bram do kryminału. Na to powinny być inne środki i sposoby. *Ant. Stopa.*

SPRAWY LUDOWE.

Uniwersytet ludowy. Niejeden z Was, kochani bracia włościanie, zapyta się zapewne, co to jest ten »Uniwersytet ludowy«? »Uniwersytetem« czyli »Wszechnicą« nazywa się najwyższa szkoła, gdzie uczeni profesorzy wykładają różne nauki, gdzie się uczą na księży, doktorów, sędziów i profesorów. Aby można być przyjętym i korzystać z nauk w takim »Uniwersytecie«, trzeba ukończyć ośm klas gimnazyalnych i zdać »maturę«, to jest egzamin z tych wszystkich przedmiotów, jakich się student uczył przez całe gimnazyum. Zaś »Uniwersytet ludowy« to nie szkoła, ale grono ludzi intelligentnych, wykształconych, którzy się dobrowolnie zobowiązali szerzyć oświatę wśród ludu i mieszczaństwa przez przystępne i zrozumiałe wykłady różnych wiadomości i zagadnień naukowych. Takie »Uniwersytety ludowe«, które w zachodniej Europie ku wielkiemu pożytkowi już dawno potworzono, i u nas w Galicyi, gdzie oświata znajduje się na zbyt nizkim stopniu, mogą się ogromnie przyczynić do podniesienia i rozszerzenia oświaty wśród szerokich warstw mieszczaństwa i włościan, gdyby tylko były prowadzone stopniowo, rozumnie i w sposób uwzględniający nie tylko rozwój umysłowy ludności, ale by były zastosowane do charakteru i potrzeb tejże ludności. Dotychczasowe działanie »Uniwersytetu ludowego« u nas, ośmielimy się powiedzieć, że nie spełnia w zupełności swego zadania, bo zbyt wcześnie chce zaznajomić lud z wiadomościami dalszemi i trudniejszemi, a opuszcza to, co jest na razie bliższe i koniecznie potrzebne. Jak się postępuje z rolą, tak potrzeba postępować i z umysłem ludzkim, jeśli się chce mieć plon dobry i obfity. Zamiast tłomaczyć ludowi o początkowem kształtowaniu się ziemi, zamiast pływać po przestworzach niebieskich, byłoby nierównie daleko lepiej objaśniać ludowi to, co mu bezpośrednio i zaraz korzyść przynieść może i przyniesie. Dobra to jest rzecz zaznajomić się ze ziemią, na której się żyje, i coś wiedzieć także o innych ciałach niebieskich, ale daleko korzystniej dla włościanina czy mieszczucha wiedzieć, jak się uchronić od tej lub owej choroby i jak sobie poradzić czy w tej lub owej biedzie. »Uniwersytet ludowy« powinien się zająć przedewszystkiem hygieną i ekonomią ludową i te wiadomości gruntownie wszczepiać i rozpowszechniać, a wykłady o gwiazdach, o początku człowieka i innych ciężkich zawikłaniach naukowych pozostawić sobie na później. Najprzód trzeba się nauczyć po ziemi chodzić, a dopiero potem myśleć o bujaniu po gwiazdach. Inaczej »Uniwer-

s y t e t l u d o w y« powiększy tylko liczbę niedowarzonych półgłówków, których największą mądrością jest zaprzeczanie istnienia Boga i duszy nieśmiertelnej.

Kronika i rozmaitości.

Na taczkach do dziury. Policya krakowska oddawna poszukiwała niejakiej Maryanny Płonkównej, dziewczyny-włóczęgi, za różne sprawki, wchodzące w kolizye z prawem. O poszukiwaniach tych wiedziały okoliczne posterunki żandarmeryi i policyanci gminni przedmieść Krakowa, mając podany rysopis włóczęgi. Wczoraj we wsi Rakowicach pod Krakowem policyant gminny napotkał poszukiwaną dziewczynę, wałęsającą się po polu, przystąpił więc do jej aresztowania. Ale silna dziewczyna stawiła mu gwałtowny opór, tak, że aż poturbowany policyant zawezwać musiał pomocy przechodzącego patrolu wojskowego w sile kilku ludzi. Gdy i tej pomocy dziewczyna nie uległa, żołnierze i policyant wpadli na oryginalny, lecz skuteczny pomysł. Oto związali postronkami i łykiem opierającą się dziewczynę i tak skrępowaną, jak barana, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mogła, włożono na zwykłe chłopskie do wożenia gnoju taczki i na nich przywieziono ją do Krakowa, gdzie oddano Płonkównę w ręce tutejszych władz. Naturalnie, że tak oryginalnej rodzimej kibitce, tłumy gawiedzi towarzyszyły aż do samej bramy krakowskiej policyi.

Tajemnicza śmierć w Kalwaryi. Do tutejszej dyrekcyi policyi nadeszło z Kalwaryi doniesienie, że dnia 21. maja znaleziono w jednym z rowów obok klasztoru Bernardynów zwłoki nieznanej kobiety, jednak bez śladów jakiejś gwałtownej śmierci. Podług rysopisu, była to kobieta około 50 lat licząca, silnie zbudowana, o twarzy okrągłej, nosie grubym, włosach blond, w czarnej spódnicy i czarnym atłasowym staniku, przepasana białym fartuchem. Podług znalezionego przy niej biletu kolejowego, przyjechała ona do Kalwaryi tego samego 21. maja z Podgórza i z niewiadomej przyczyny upadła w rowie martwa. Ktoby co wiedział o tej kobiecie, proszony jest o zgłoszenie się do dyrekcyi policyi w Krakowie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

C. k. Dyrekcyi poczt we Lwowie donosiśmy, że nas dochodzą nieustanne skargi na pocztę w Tłumaczu. Gazeta nasza bywa wręczaną czytelnikom w dwa lub trzy dni później, czasami dopiero wskutek upomnienia się i najczęściej pomięta, jakby „psu z gardła wyjął“. Prosimy o zrobienie porządku. — Kiedy też w tej Galicyi nastąpią europejskie stosunki.

P. Gondek. Gazetę wysyłamy regularnie w piątek. W niedzielę powinien ją Pan mieć, chyba że tam gdzieś po drodze Prusacy ją zatrzymują. Możeby się tam Panu udało nakłonić nam więcej czytelników, toby ludzie czytali po polsku, wiedzieliby, co się w kraju dzieje i nie zapomnieliby o swoich.

P. Fr. Dąbrowski. Skargę wnieśliśmy. Jeżeli się nie poprawią, to nam proszę znowu donieść.

NADESŁANE.

Dr WŁODZIMIRZ LEWICKI

adwokat, obrońca w sprawach karnych,
przeniósł swoją kancelaryę adwokacką
do domu pod l. 28, I. piętro, przy ul. Sławkowskiej w Krakowie

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

GOSPODARSTWO WIEJSKIE w obszarze 24, 30, 40 70

i 80 morgów dobrej gleby z **lasem, budynkami i obsiewem**, licząc za wszystko razem, t. j. za glebę, las, budynki i obsiew, mórg na mórg po 160 złr. Gotówką potrzeba pół ceny, reszta może zostać na hipotece. Inwentarz martwy i żywy w miejscu do nabycia. Położone w Galicyi Wschodniej, 3 kłm. od kościoła, 2 klm. od poczty, a 12 klm. od miasta powiatowego i stacyi kolejowej. 2—3

Zgłaszać się pod adresem:
Maryan Horwáth w Stanisławowie,
plac TARGOWICA L. 33.

Pierwszy chrześcijański zakład wyrobów betonowych Jana Rajcherta w Podgórzu, ul. Kalwaryjska L. 30

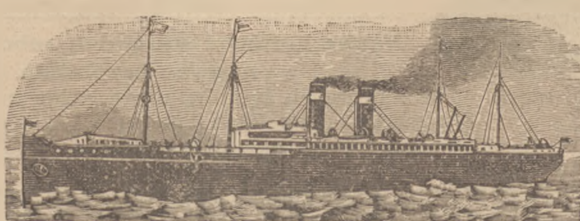
poleca: posadzki cementowe, rury, rynny, kamienie studzienne grubsze lub cieńsze, podejmuje się również wykonywania wszystkich robót w zakres tego przedsiębiorstwa wchodzących po nader nizkich cenach.
5—10

Przez Wysokie c. k. Namiestnictwo
KONCESYONOWANE

BIURO PODRÓŻY I SPEDYCYJNE

ZOFII BIESIADECKIEJ, OŚWIĘCIM, DWORZEC.

sprzedaje bilety kolejowe okrężne



karty okrętowe I-szej i II-giej klasy

oraz **karty międzypokładowe** dla
wychodźców do Ameryki. Ceny najniższe. Wymiana picniędzy.
Prospekta darmo i opłatnie.

Wydawcy i właściciele: Ks. Andrzej Szponder i Dr Michał Daniclak. — Redaktor odpowiedzialny: Władysław Jaśko.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.